

## Jan Rokita: Księżna i gej [FELIETON]

Ciekawi mnie nie tyle kłopot brytyjskiej monarchii ze zdeprawowaną parą książęcą, która wzorem gwiazd showbusinessu z wywoływania skandali uczyniła swój sposób na życie i pieniądze, co różnica reakcji przywódców państw, wyraźna zwłaszcza między konserwatywnym premierem brytyjskim i lewicowym prezydentem USA – pisze Jan Rokita w felietonie z cyklu „Z podbieszczdzkiej wsi”.

Dwie na pozór drugorzędne historyjki polityczno-obyczajowe z ostatnich dni. Obie jednak rzucające snop światła na newralgiczne dziś pogranicze „wielkiej polityki”, dominującej kultury, no i zepsutych obyczajów elit. Historyjka pierwsza przyciągnęła uwagę świata, przesłaniając wszystko, co dzieje się na naszym globie, z piorunującą trzecią falą zarazy włącznie. Oto brytyjska księżna, wraz ze swym mężem – młodszym synem następcy tronu – oskarżyła dwór królowej Elżbiety II o rasizm i niewrażliwość na własne skłonności psychopatyczne i samobójcze. Wiadomo, że czasy są takie, iż nie wiadomo, które z tych oskarżeń jest dla monarchii brytyjskiej bardziej niebezpieczne. Nic dziwnego, że kabaretowa ze swej natury historia jest w Londynie traktowana z całą polityczną powagą. Nieszczęsna królowa, której pomimo osobistej dzielności od lat nie udaje się obronić dobrego imienia brytyjskiej monarchii, teraz znalazła się pod pręgierzem agresywnych krytyk tzw. „działaczy praw człowieka” (co to dziś w ogóle jeszcze znaczy?), uważających iż: „przegapiła kluczową okazję do publicznego potępienia rasizmu”, albo że „uchyliła się od

przywództwa w walce z niesprawiedliwością rasową w tym kraju, szczególnie w obliczu Black Lives Matter” (cytaty za dziennikiem „The Guardian”).

*Najzupełniej zaś  
nieoczekiwanie w spór w  
angielskiej rodzinie  
królewskiej ostro wtrącił się...  
Biały Dom*

Mnie jednak ciekawi  
nie tyle kłopot  
brytyjskiej monarchii  
ze zdeprawowaną  
parą książęcą, która  
wzorem gwiazd  
showbusinessu z  
wywoływania

skandali uczyniła swój sposób na życie i pieniądze. Bardziej bowiem interesująca jest różnica reakcji przywódców państw, wyraźna zwłaszcza między konserwatywnym premierem brytyjskim i lewicowym prezydentem USA. Boris Johnson, nachalnie nagabywany przez media o zajęcie stanowiska, kategorycznie odmówił, ponawiając jedynie typowe dla brytyjskich premierów starej daty słowa „uwielbienia” dla królowej. Najzupełniej zaś nieoczekiwanie w spór w angielskiej rodzinie królewskiej ostro wtrącił się... Biały Dom, chwaląc pod niebiosa intrygancką parę książęcą i stawiając jej odwagę za wzór zwykłym ludziom. „Aby wystąpić publicznie i opowiedzieć swoją własną historię o zmaganiach ze zdrowiem psychicznym – to wymaga odwagi, a prezydent z pewnością wierzy w odwagę” – brzmiało oświadczenie rzeczniczki Bidena. Nie dziwota, że w konserwatywnej prasie angielskiej ta reakcja wywołała niezrozumienie i konsternację. Typowa jest tu opinia komentatora „Daily Express”, który dziwuje się, po co prezydent USA „wkracza w królewską awanturę”, co grozi przecież politycznie bezsensownym „otwarcie przepaści między administracją Bidena a brytyjskim establishmentem politycznym”.

Historyjka druga jest zupełnie innej i bardziej pośledniej natury, a dotyczy polsko-francuskiego podwórka. Clement Beaune jest homoseksualistą, co nie miałoby znaczenia, gdyby nie fakt, iż z tej swojej skłonności uczynił swój polityczny znak rozpoznawczy. Beaune sam prezentuje się jako lewicowiec i lubi z radością opowiadać francuskim pismom gejowskim o swym propagowaniu homoseksualizmu i o walce o aborcję. Od ubiegłego roku Beaune jest również ministrem ds. europejskich Republiki Francuskiej i w tym charakterze zawitał do Polski 8 marca, w Dzień Kobiet. Wkrótce wyszło na jaw, iż wizytę w Polsce minister traktuje jako *sui generis* inspekcję stanu kwestii gejów i aborcji w naszym kraju. Doszło więc do jakichś nieporozumień z polską dyplomacją, która zapewne myślała, iż przekonsultuje z francuskim ministrem pokręcone ostatnio problemy europejskie. W efekcie Beaune odwołał swoją inspekcję w Kraśniku, gdzie – wedle jego wiedzy – Polska zabroniła uprawiania praktyk homoseksualnych. Skrócił wizytę, a po nagłym powrocie do Paryża oskarżył Warszawę, iż zabroniono mu inspekcji w owym Kraśniku. Nawiasem mówiąc, zarówno polski rząd, jak i władze Kraśnika w grzecznych słowach informują, że francuski minister najzwyczajniej kłamie.

*Rządy kierują się interesami  
swoich państw i dlatego  
właśnie ich polityka może być  
dla kogoś przykra, ale jest  
zawsze obliczalna*

Czy te dwie historyjki, z tego samego czasu, ale całkiem różnych miejsc, mają coś ze sobą wspólnego? Mają i to wbrew pozorom bardzo

wiele. Obie bowiem unaoczniają nowy i dość zaskakujący trend,

przeobrażający do gruntu zachodni koncept uprawiania polityki państwowej. Odkąd Robert Kagan wydał w 2008 cieniutką, ale doniosłą książeczkę o „powrocie historii”, byliśmy skłonni przyjąć jako pewnik jego tezę, iż wraz z wiekiem XXI nadchodzi znów era normalnej polityki. „Normalnej” – to znaczy takiej, w której przestają liczyć się ideologie i marzenia, a znaczenie mają suwerenność, dzielność, siła, spryt, sojusze, geografia. U progu nowożytności taką politykę błyskotliwie opisał nam Makiawel, zaś Henryk Burbon zdefiniował ją najtrafniej bon-motem: „Paryż wart mszy”. Nie jest to oczywiście obraz polityki dla idealistów i pięknoduchów, tym niemniej ma on trudne do przecenienia zalety. A bodaj największą z nich jest obliczalność: rządy kierują się interesami swoich państw i dlatego właśnie ich polityka może być dla kogoś przykra, ale jest zawsze obliczalna.

Ostatnio jednak coraz częściej podejrzewam, że Kagan mógł się kompletnie pomylić w swej diagnozie bliskiej przyszłości. Coraz częściej widzę bowiem przywódców i przedstawicieli państw, skłonnych przedkładać swą przynależność do jakiejś ideologicznej sekty ponad klasycznie państwowe interesy. Beaune wydaje się traktować swój urząd ministra bardziej jako platformę do walki o wolność aborcji i przywileje gejów, niżli po prostu o interesy Francji. Jest ministrem po to, by móc mocniej zaznaczyć się jako gej. Zaś Biden coraz częściej robi wrażenie prezydenta, który dla zyskania pochwały „antyrasistów” albo dla napiętnowania „maczystowskiej” kultury wstydu i obyczajowej powściągliwości nie będzie zbyt zważać na interesy Ameryki. Okazja jest dobra nawet wtedy, gdy wiąże się z nią jawna obraza zaprzyjaźnionej brytyjskiej monarchini. Ci politycy odwracają polityczną logikę nowożytności, zdefiniowaną przez Makiawela i Burbona. Wyglądają na takich, co dla swej sekciarskiej mszy są gotowi poświęcić bynajmniej nie tylko Paryż.

*Jan Rokita*

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczdzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030

